

*Iwona Banach*



*Klątwa utopców*

Nasza Księgarnia

Text © copyright by Iwona Banach, 2015

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Layout okładki *Olga Reszelska*

Projekt okładki *Karia Korobkiewicz*

Zdjęcie autorki *Grzegorz Matoryn*

Zdjęcia na okładce:

© Anna Omelchenko – depositphotos.com

© Gbugłok – depositphotos.com

*Bohaterowie tej powieści, poza Mućkiem oczywiście,  
są całkowicie fikcyjni, ale gdyby ktoś bardzo, bardzo chciał się  
w niej odnaleźć, to proszę się częstować...*

**Autorka**

## Rozdział II

Filip prowadził przerażająco ostrożnie, do tego stopnia, że nie tylko Daga, lecz także pasażerowie klęli w duchu, na czym świat stoi. Zastanawiali się, czy da się jechać jeszcze wolniej i czy ucieczka w tak ślimaczym tempie w ogóle ma sens. Fakt, cała eskapada nie była zbyt przemyślana i specjalnie miła, ale po prostu nie mieli wyboru.

Co im pozostało? Siedzieć tam nadal i dać się zastraszać w tak okrutnie nieortograficzny sposób?

Wszyscy ziewali na potęgę. Michał pochrapywał od czasu do czasu, niewygodnie wtłoczony za siedzenie Dagi, Andżelika siedziała wpatrzona w okno z tępym wyrazem twarzy i jakimś cudem milczała.

Filip nie krył wściekłości. Jak sam mówił, był typowym mieszczuchem i tereny choć odrobinę zalesione, oddalone od cywilizacji nawet o ułamek kilometra, przyprawiały go o dreszcze, a teraz życie, okrutne i w dużej mierze nieprzewidywalne, zmusiło go do podróży na jakieś cholerne odludzie.

– Nawet wysikać się nie ma gdzie – burknął, zatrzymując samochód.

– Lasu ci mało? – zapytał Michał. – Nikt cię nie będzie podglądał. Coś ty taki paniczyk? Idź w krzaki i już!

– Nie! Tu nie sikaj – ostrzegła go zaspana Andżelika. – Podjedź kawałek dalej.

– Jasne! Dalej! Mowy nie ma! Nie dam rady! – odburknął Filip. Wysiadł z auta, przeszedł na drugą stronę drogi i zniknął.

– Gęsty ten las – mruknęła Daga, obawiając się o bezpieczeństwo Filipa.

Z daleka dały się słyszeć jęk, bulgot i przekleństwa.

– Nie mówiłam? Ten kawałek tutaj jest okropny. To nie jest las – odezwała się wciąż zaspana Andżelika. – To bagno, nie jakieś tam straszne, ale...

– Boże kochany! – krzyknęła Daga, wyskakując z samochodu i pędząc na pomoc narzeczonemu. Michał także wysiadł, ale nie spieszył się aż tak bardzo. Zanim przebiegli przez jezdnię, zobaczyli po drugiej stronie paskudnie upranego i podrapanego Filipa.

Chłopak kipiał ze złości, co najwyraźniej było już u niego stanem permanentnym.

– To wszystko wina tego twojego dziadka... To on nas ściągnął na to zadupie! Jestem cały w błocie! Tapicerka to przyszcz, ale moje ciuchy będą do wyrzucenia!

Daga miała ochotę powiedzieć mu, że oprócz tego ma chyba rozciętą głowę, ale pomyślała, że sam się o tym dowie, jak dojadą na miejsce.

Zresztą właściwie już prawie dotarli do celu. Jechali ponad dwie godziny, a przecież wyruszyli z domu o trzeciej w nocy.

Wjechali do centrum i stanęli niedaleko browaru. Zwierzyniec był jednym z tych miasteczek, które przejezdni określają jako urokliwe, turyści – znośne, a mieszkańcy – najpiękniejsze na świecie, szczególnie z perspektywy zakorkowanego Londynu, z którego kiedyś przecież wróca, by osiedlić się całkiem niedaleko, w Lublinie albo Zamościu.

Michał poszedł załatwiać swoje sprawy. Dagmara z Filipem siedzieli na ławce w parku, usiłując nie zasnąć. Nawet

ze sobą nie rozmawiali. Andżelika gdzieś zadzwoniła, po czym zgodnie z zapowiedzią pobiegła do ciotki.

Czekali całe wieki. Później zwiedzili browar i park, a potem znów siedzieli bez ruchu, głodni i spragnieni.

Byli zmęczeni. Andżelika pojawiła się cała w skowronkach po kilku dobrych godzinach, nic sobie nie robiąc z tego, że na nią czekali. Michał także wrócił zadowolony, że udało mu się wszystko załatwić.

– Może pójdziemy na Bukową Górę? – zaproponowała niezdecydowanym głosem Dagmara.

– Mowy nie ma! – jęknął Filip – Nigdzie nie idę. Przy najmniej nie teraz! Muszę się wyspać. Wynajmijmy domek, stówa za cały, cztery łózka...

Wszyscy wyraźnie się ucieszyli.

– Musimy się przespać – poparł pomysł Michał. – Noc spędzimy tutaj, a jutro rano ruszymy dalej, wiem, że można by teraz, ale po co się spieszyć. Zresztą jazda w takim stanie nie jest bezpieczna. Tak mi się chce spać, że padam z nóg.

– Ja też – mruknął Filip. – Odpocznijmy tutaj! To ładne miasteczko. – Wyraźnie nie miał ochoty na kontynuowanie podróży.

– A jeśli nas ktoś, bo ja wiem, goni? Śledzi?

– Nie, nie gadaj, nikt za nami nie jechał, nie bzdurz! Lepiej jeszcze raz zadzwoń do dziadka albo do Kingi, może ktoś odbierze?

Wystukiwane od wczoraj po kilkadziesiąt razy numery nie odpowiadały. W komórce dziadka włączyła się poczta głosowa. Telefon Kingi także milczał.

– Szlag by to trafił! – warknęła Dagmara. – Jedźmy już wynająć ten cholerny domek, rzeczywiście padam na pysk!

– Cholera – zaklął Filip. – Pachnie kielbasą. Co za boski aromat. Zabiłbym za coś do żarcia.

Z rezygnacją wsiadł do samochodu.

– Kupiłam bułki – poinformowała Andżelika. – I przyniosłam od ciotki kilo kielbasy. Zrobimy ognisko. Wiecie, melanzyk jak się patrzy! Trzeba się zabawić, nie?

Wszyscy popatrzyli na dziewczynę z zaciekawieniem. Różowa Pindzia postarała się o kielbasę! Co prawda natura nie obdarzyła jej mózgiem, ale kielbasa w tym momencie w zupełności im wystarczała. Wzmianka o melanzyku zaniepokoiła Dagmarę, bo to sformułowanie kojarzyło jej się z ostrym piciem, ale była wdzięczna Andżelice za pomysł z prowiantem.

Wynajęli domek.

Powoli zapadał zmrok. Jakieś latające stworzenia głośno zaznaczały swoją obecność bzyczeniem i coraz to nowymi bąblami na skórze. Teren budził się do życia. O tej porze wstawali studenci i wampiry. Oba te gatunki za dnia odczuwały światłowstręt i niechęć do jakiegokolwiek wysiłku, choć wampiry bywały nieco mniej niebezpieczne.

Zaczęli szykować kielbasę. Przy innych domkach także coś się działo. Tu i ówdzie dało się zauważyć ogniska i usłyszeć niezbyt trzeźwe rozmowy.

Michał zajął się rozpalaniem ognia, Andżelika strugała patyki na kielbaski. Filip siedział naburmuszony, a Dagmara usiłowała jakoś zabawić towarzystwo.

– To co robimy jutro? – zapytała, nie zdając sobie sprawy, że wywoła tym burzę.

– Jak to co? – warknął Filip. – Szukamy jakiegoś wariata. Cały ten wyjazd, rozumiem, ci ludzie, czy jak im tam, mafia, no okej, nie mogliśmy tam siedzieć, ale nie ma sensu pchać się w to dalej. Mam dosyć. Chcę wracać do domu! Do domu!

Z daleka usłyszeli niezbyt trzeźwy rechot.

– Żeby ci mamusia pieluszkę zmieniła?! – zawołał ktoś siedzący przy sąsiednim domku. – Dzidzia chce smoczka?

– Odpieprz się – odparował Filip, ale niezbyt donośnie.

Najwyraźniej chciał się odgryźć, ale wołał, żeby go nie usłyszano.

– Z wsiokami nie gadam – dodał po chwili odrobinę głośniej.

– Te, warszawiak! A w mordę chcesz?! – odkrzyknął ktoś nieprzyjaźnie.

Michał popukał się w czoło.

– Zamknij się, debilu! – syknął. – Nie potrzebujemy tu awantury.

– Mamy dobrą kiełbachę, prawdziwą, swojską! – zawołała Andżelika, chcąc załagodzić sytuację. – Co wy na to?

– Świetnie – odpowiedzieli sąsiedzi z zachwytem. – To może się przemieszamy? Bo my mamy karkóweczkę. Idziecie do nas? Już dochodzi!

Poszli tylko na chwilę, zostali na dłużej. Sąsiedzi okazali się mili, choć trochę podpici. Piotrek, student z Zamościa, był koszmarne rudy, ale przystojny, a Marek, jego młodszy brat, napakowany jak jakiś kulturysta i ogolony na zero. Andżelika w ich towarzystwie czuła się jak ryba w wodzie. Nie

zamierzali siedzieć długo, bo Dagmara była zmęczona, Filip trochę się bał, a Michał nie miał ochoty na przygodne znajomości, ale po ostatnich koszmarach zapragnęli odreagować. W takich sytuacjach piwo zazwyczaj pomaga. Tym razem sprawdziło się aż za bardzo.

Najbardziej i najdokładniej odstresował się Filip.

– No i fffftedy taki jedenn ćw... tfu, świr...

– Filip, masz już dosyć! – usiłowała uspokajać go Dagmara, ale alkohol rozwiązał chłopakowi język, na szczęście skutecznie go płacząc.

Nie bardzo dało się go zrozumieć.

– Sssso? – bełkotał. – Prawde mówie! No i ten, no, taki jeden, no taką kukłę, a por... podziamal... nnnooooo...

– Nikt nikogo nie dziamal! – oburzała się Dagmara. – Przestań, kochanie, opowiadać głupoty!

Pieszczotliwe określenie wyrzuciła z siebie siłą woli, bo nie po raz pierwszy cisnęło jej się na usta: „debilu”.

– A dziamal! No! Keczupem...

Zjedli kielbaski i trochę karkówki. Wrócili do domku nad ranem, wlokąc Filipa jak szmaccianą lalkę.

– Nnno sssso? Noc jjjjeszczce nie skurwonek...

– On tak zawsze, jak wypije? – Andżelika patrzyła z niedowierzaniem na Filipa. – Oj, masz ty za swoje!

Pożałowała Dagmary, ale ta obruszyła się szczerze.

– A coś ty! Filip nie pije! Nigdy nie pił. Coś mu zaszkodziło, wiesz, jak ktoś jest nieprzyzwyczajony... No naprawdę! Nie pije! Słowo honoru!

– Aha. – Różowa pokiwała głową z udawanym zrozumieniem. – Już ci wierzę. Jasne, zaszkodziło...



Położyli Filipa na łóżko i dopiero wtedy zrozumieli, jak poważny popełnili błąd, tachając go do domu.

Tej nocy Dagmara nie zmrużyła oka, czuwając przy narzeczonym niczym wierna i oddana pielęgniarka. Nie miała innego wyjścia. Filip śpiewał, krzyczał i kłął. W przerwach rzygał, choć gdyby się nad tym zastanowić, to jednak odwrotnie.

Zmordowana Andżelika snuła się po kuchni, usiłując wesprzeć Dągmare, ale niewiele mogła pomóc.

– Okropnie się brzydzę – oświadczyła po kolejnym odruchu wymiotnym i ograniczyła się do podawania zza drzwi mokrych ręczników i herbaty.

Michał poszedł na spacer.

Kiedy w końcu sytuacja unormowała się na tyle, że można było iść spać, dochodziła czwarta rano.

– Trudno. Przedłużymy sobie dobę hotelową, ale tym razem bez imprezowania. Musimy się wyspać – zdecydowała Dagmara i padła. Na szczęście na własne łóżko i zaraz po tym, jak wzięła prysznic.

Wtedy zaczął się koszmar.

Ludzie, którzy wynajmują domki, nie robią tego przecież po to, żeby spać, tylko żeby pić, jeść i śpiewać do rana.

Dagmara przeklinała pomysł noclegu w domku. Przeklinała z całego serca i duszy już po szóstym wykonaniu *Białego misia*, dziesiątym „o kurde, jak to dalej leciało” i setnym „ty, zagraj to, no wiesz, takie, la, la la...”.

Nie mogła zasnąć, bo domek po prawej dysponował rozstrojoną gitarą, która była w stanie zamordować każdą melodię, domek w głębi miał akordeon i bardzo wstawionego

akordeonistę, a ten po lewej stronie – dobre chęci i zero słu-  
chu, więc mimo braku instrumentu wokalnym zapałem bu-  
dził przerażenie.

Daga zamykała na chwilę oczy, kiedy któraś z grup mu-  
zycznych, a od jakiegoś czasu również coraz bardziej tanecz-  
nych, przerywała występy, by zastanowić się, co dalej, po  
chwili jednak budziła się wraz z nową falą śpiewów, krzyków  
i piosenek, których słowa coraz częściej brzmiały podobnie...

– No, jak to szło? La, la, lala, lalam... Tego, no, a potem,  
o la, la, la...

Koło szóstej, kiedy zmęczenie i piwo pokonały ostatnich  
artystów, Dagmara odplynęła naprawdę. Była jednak tak  
umęczona i zła na cały świat, że znów zaczęły jej się śnić  
koszmary. „Nie zrozumiesz – szemrało coś w jej głowie. –  
Ciężki plecak, czartowe pole... głęboko noco nad zalew  
z czartami! Ukradła... i tak ukradła!”

Obudziła się dobrze po południu.

Z trudem otworzyła oczy. Melodia trwała nadal. Dopiero  
wtedy pojęła. Oczywiście, to była ta piosenka! Ta, która jej  
się śniła tamtej nocy w Słodkowie. Ktoś ją śpiewał... I ten  
ktoś to była... Andżelika!

– Jeszcze raz! – zawołała do dziewczyny krzątającej się  
po kuchni. – Dawaj!

– Niby co? Jedzenie jeszcze niegotowe, ale kawę mam,  
chcesz?

Dagmara chciała. Bardzo chciała kawy, ale chciała też  
tamtej piosenki.

– Odbiło ci? Nie śpiewam na trzeźwo – odparła dziew-  
czyna z niezadowoleniem. – Chyba że nikt nie słyszy.

– Dobra, chodzi mi tylko o tę piosenkę, którą teraz nuciłaś! Proszę...

Andżelika coś zamruczała, ale Dagmara pokręciła głową.

– Nie ta, dawaj drugą. Tę o ruskiej mafii! Głęboko noco i takie tam...

– A, to *Roztocze!* – ucieszyła się Różowa Pindzia.

*Pójdę nad Tanew głęboką nocą,  
Tanew, co skradła księżycą blask.  
Gdzie na dnie w wodzie jasno migoce  
ta najszczęśliwsza ze wszystkich gwiazd\*.*

Dagmara nagle sobie przypomniała.

– To ta piosenka, dziadek ją śpiewał! – zawołała. – Chodziło o taką wieś koło Suśca, nie pamiętam nazwy. Byliśmy tam i była Tanew, to stamtąd robiliśmy wycieczki po Roztoczu. Pewnie tam musimy się dostać. Tylko ta nazwa...

Filip umierał. Był skacowany, wściekły, chory i trochę jeszcze zielony na twarzy. Dygotał drżeniem właściwym starym samochodom i młodym pijakom. „Rączki mu się trzęśli” – jak to określiła Andżelika. Usta miał spieczone i popękane, cuchnął jak wymioty i gorzelnia razem wzięte i wszystko go bolało.

– Oszałałaś?! – wrzasnął piskliwie i czknął. – Piosenka?! To ty wleciesz mnie taki szmat drogi na zadupie z powodu jakiejś melodii?! Doszczętnie skretyniałaś? A twój dziadek

---

\* *Roztocze*, autor nieznany.

zwariował! Jego trzeba zabrać do jakiegoś psychiatry, zamknąć albo coś...

– Nie masz racji, kochanie. – Daga usiłowała się bronić, coraz bardziej tracąc grunt pod nogami. – To tylko...

– Dość tego! Ja wracam do domu – warknął Filip. – I ty mnie tam odwiedzisz, czy ci się to podoba, czy nie. Nie mogę prowadzić w takim stanie. – W głosie chłopaka dała się słyszeć pretensja, jakby za jego stan odpowiadała właśnie Dagmara. – A poza tym mam dość wyglupów i włóczenia się nie wiadomo gdzie, w ogóle wszystkiego...

– Nigdzie cię nie odwiozę – powiedziała dziewczyna spokojnie i powoli, aż Filip przetaił oczy. – Chcesz wracać, droga wolna, ja się pakuję i ruszam do Suśca, a wy jak?

– Jedziemy z tobą – rzucił wesoło Michał, odpowiadając także w imieniu Andżeliki. – Nie odpuszczę sobie takiej frajdy.

Filip znów był niepoczyszony.

– No ale przecież... Nie pojedę sam, bo jak? Nie... – mruknął wyraźnie pokonany. – Ale jeśli tak strasznie ci na tym zależy, to mogę zostać. – Przemawiał wyniośle i łaskawie, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia reszty. – Przecież ja cię kocham! – zakończył.

– Ja ciebie też, kochanie, ja ciebie też – rozczuliła się Dagmara.

– A w tym Suścu to jak ich znajdziesz? – zapytał Michał, nie całkiem wierząc w powodzenie przedsięwzięcia.

– Nie wiem – westchnęła. – Jestem wykończona. Nie spałam całą noc. Coś wymyślę.

Filip milczał obrażony. Siedział w kuchni, starając się przetrwać zawroty głowy i wciąż powracające mdłości. Co

chwile wybiegał do łazienki, skąd wracał jeszcze bardziej wymizerowany.

Wszyscy byli ospali i nie bardzo wiedzieli, co robić. Zabrane z domu dziadka konserwy smakowały jak trociny. Bez większego namysłu postanowili spokojnie spędzić dzień nad wodą, żeby trochę odpocząć.



Przy kolacji rozległ się sygnał esemesa.

– Od Kingi! – zawołała Dagmara, ale zamiast go odczytać, natychmiast wybrała numer dziewczyny. Nie dodzwoniła się.

Wiadomość była dziwaczna i niewiele wyjaśniała.

– Utopce z mordami – przeczytała i aż jęknęła. – Jeszcze mi potrzebne jakieś utopce z mordami...! Kindze też odbija, ale chyba żyje, skoro pisze? I o co jej chodzi? Że niby co?

– Że gonią nas potwory? Jakieś wiejskie zombie? – jęknął Filip.

– Utopce z mordami? – Michał uśmiechnął się niepewnie. – To bez mórds też bywają? Tfu, co ja gadam! Jakich mórds, mord chyba, nie?

– Utopce to takie demony – jęknął Filip. – Porwały ich czy co? Ja pierdzielę! No ja pierr... O, przepraszam, ale demony?! Ja oczywiście w coś takiego... nie wierzę, ale...

Daga skrzywiła się na myśl o czymś tak paskudnym jak utopce, i to jeszcze z mordami. Wyobraziła sobie wielkie i oślizłe, zielone stworzenia o ogromnych głowach. Zamiast twarzy miały okropnie wykrzywione pyski z żółtymi kłami i wybaluszonymi oczami. Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Oczywiście nie wierzyła w bajki, ale chętnie oglądała horro-

ry, co w jej obecnym stanie psychicznym zaowocowało makabrycznymi skojarzeniami.

Andżelika patrzyła na wszystkich z takim niedowierzaniem, jakby widziała ich po raz pierwszy w życiu.

– Co wy gadacie! Utopce to wieś. Zwykła, mała, normalna. – Zawahała się. – No, właściwie bardziej osada, nad samą rzeką!

– Coś mi się przypomina... To chyba tam. – Dagmara się ucieszyła. – Ale co z mordami?

– O tym nic nie wiem, więc może chodzić o coś zupełnie innego.

– Niby o co? O pyszczki? Gęby? Ryje? – wtrącił Filip, jak zwykle dość niegrzecznie.

– Nie, o mordowanie. Ktoś kogoś zabił albo co? – Andżelika uśmiechnęła się rozbrajająco, jakby naprawdę chciała dokopać Filipowi. – Mord to jakby duże morderstwo. Mogli tam kogoś zaciukać. Dlaczego nie? Zawsze gdzieś zdarzają się zbrodnie, to czemu nie tam?

– Daj spokój, Andżelika! Czego mnie straszysz? – Dagmara okropnie się zdenerwowała.

– Ja ci pomagam, a nie straszę. To ty wymyśliłaś sobie demony, ale w końcu przynajmniej wiemy, gdzie się podzieli twój dziadek i ta dziewczyna.

– W Utopcach? Jasne, możliwe, że masz rację, ale te mordy mnie nie przekonują. Po co by pisała o mordowaniu? To mało prawdopodobne.

– Już dziesiąta – przerwał im Michał. – Pakujmy się do łóżek, wypijmy wreszcie, skoro zapłaciliśmy za drugi nocleg. Trzeba to wykorzystać, rano oddamy klucze, a potem pojedziemy do tego twojego dziadka. Daleko to?

– Nie, pół godziny? Godzina? Może mniej. Jak wstanie-  
my o ósmej, będzie dobrze.

Wykończeni zapomnieli, że w takich miejscach, kiedy  
zapada zmierzch, budzą się upiory i te upiory zaczynają wyć.

Powoli nad domkami znów zaczęły rozsnuwać się kosz-  
marnie fałszywe melodie, dzikie wrzaski i nawoływania,  
jakby wszyscy czekali tylko na to, aż ktoś zechce się położyć,  
by z przyjemnością zakłócić mu sen.

Dagmara wytrzymała do dwunastej, po czym usiadła  
w kuchni nad szklanką wody mineralnej. Po chwili dołączy-  
ła do niej Andżelika. Michał skapitulował o drugiej.

Filip spał kamiennym snem, odsypiając kaca giganta.

– Tu można normalnie ociepieć – powiedział Michał  
umęczonym głosem. – Posprzątajmy, obudźmy Filipa i ucie-  
kajmy stąd. Klucze wrzucimy do skrzynki na listy!



Wyjazd ze Zwierzyńca zajął im trochę czasu. Filip nie bar-  
dzo wiedział, którą drogę wybrać, ale w końcu mu się udało.

– Ty, widzę, obeznany z okolicą – skonstatowała Andże-  
lika z wrednym błyskiem w oku.

– Nie, a co? – odparł burkliwie Filip. – Coś nie tak?

– Wszystko tak, wszyściutko, tylko jakoś mi się wydaje,  
że na tutejszych drogach to na GPS lepiej nie polegać, bo...

Filip nie zamierzał jej słuchać.

– Daj spokój, nie znasz się na tym! – odpowiedział z wyż-  
szością.

Andżelika wzruszyła ramionami i znów zapadła w drzemkę.

Daga bezmyślnie wsłuchiwała się w monotony mecha-  
niczny głos.

– Za dwieście metrów skręć w prawo, po stu metrach zakręć w lewo...

Zasnęła. Obudziło ją coś, co nie powinno było jej obudzić. Cisza.

– Dojechaliśmy? – zapytała, przeciągając się i prostując nogi.

– Zamknij się – warknął wściekły Filip, po chwili dodał z wahaniem: – Kochanie.

Michał otworzył oczy i zaczął rozglądać się dookoła.

– Drogę nam ukradli? – zdziwił się, widząc tylko chaszczę, błocko i jakieś pola.

– Ty też się zamknij! – odburknął Filip. – Nic nam nie ukradli, źle skręciłem i tyle. Jesteśmy niedaleko Utopców. Czyli okej. Prawie dojechaliśmy, nie?

– Niby tak, ale zakopaliśmy się na cudzym polu! Tylko patrzeć, jak ktoś tu przyleci z widłami i nas pogoni!

– Nie przesadzaj, Andżeliko, pójdę do tego domu, tam wyżej, poproszę o pomoc, na pewno nas wyciągną, choćby traktorem...

Andżelika popukała się w czoło.

– Lepiej nie, bo pole to poważna sprawa, prędeż cię podziurawią widłami! Widzisz, jak zryty jest ten zagon?

– No to co? Przecież mi łba nie urwą! – Filip roześmiał się z wyższością i ruszył w kierunku widniejących w dali zabudowań. Daga obejrzała się na Michała i Andżelikę, pośpiesznie szukających kamieni i gałęzi, żeby wydobyć samochód z grząskiej pułapki.

– Ja tam nic do niego nie mam, ale normalnie przesadził, żeby tak ludziom porządnym w szkodę...! – mruknęła Andżelika. – Wsiadaj do tego gruchota i wyprowadź go



z blocka, bo jak znam życie i tutejszych ludzi, to Filip wróci bardzo szybko i z widłami w plecach! Rozbobrował pół pola, przywała mu jak nic!

W oknach domu zapaliły się światła. Chłopak wszedł do środka. Po chwili Dagmara usłyszała wściekły wrzask i Filip wybiegł z budynku w towarzystwie kilku nie całkiem ubranych osób. Na przedzie pędziła wielka kobieta w szlafroku.

– Ty dziki piesie pieprzony! – krzyczała. – Niech no ja cię tylko dopadnę! Zabiję! Nie daruję! Moje pole! Jeszcze mnie popamiętasz! Dziki pies! Powariowali z tym dzikim piesem! Już czwarty raz w tym tygodniu w pole mi jakiś idiota wjechał!

Kobieta biegła nieco wolniej niż Filip, ponieważ dzierżyła w ręku drąg. Za nią podążało dwóch mężczyzn.

– Matka, szybciej, bo ucieknie! – pogańiał jeden z nich.

– Nie ucieknie! Już ja go dopadnę! – odkrzyknęła baba gromko. – Łeb ci rozwałę! Nogi z tyłka powyrywam. A ty, Józek, leć do wsi! Znajdź tego dzikiego piesa, co się na nasze pole uwziął, to musi być któryś od Walczaków, bo one jak psy wredne! Nie popuszczę...

– Od Walczaków?

– Co racja, to racja, Dziwoty też nie lepsze, no i Dyndy parszywe... Ich też przetrąć. Tylko porządnie! Kija nie żałuj!

– Dobrze, matka, już leć!

Józek oddzielił się od goniących i popędził w przeciwnym kierunku.

Kobieta z zadziwiającym wigorem kontynuowała pościg.

Daga nie czekała, aż dobiegną do niej. Rzuciła się do ucieczki.

Zobaczyła jeszcze, jak Filip potknął się o jakąś grudę ziemi, wpadł w błoto, wywinął koziółka, ale szybko się podebrał, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dopadł samochodu ostatkiem sił. Daga już siedziała za kierownicą. Odjechali pospiesznie i zatrzymali się na poboczu przy znaku wjazdu do wsi.

– Musimy tu doczekać świtu – stwierdził Michał. – Prześpijmy się. Nie ma sensu włóczyć się po wsi nocą. Nic nam to nie da. Zresztą nie wiemy, jak ich znaleźć.

Zasnęli poskręcani na siedzeniach. Obudzili się trzy godziny później.

Utopce okazały się maleńką wioską o niewysokich, położonych blisko siebie domkach, z niewielkim ceglany kościółkiem, gospodą i sklepem. Dagmara uważnie przyglądała się mijanym budynkom, chcąc zobaczyć coś, co mogłoby się kojarzyć z mordą, mordami lub mordem, choć wolałaby pominąć tę ostatnią opcję, bo to nasuwało jej na myśl głównie zakrwawione ściany i powybijane okna oraz zwłoki w dużych ilościach, leżące bezładnie na ziemi. Na szczęście niczego takiego nie zobaczyła. Owszem, tu i ówdzie dało się dostrzec wbite w pniaki siekiery, co też mogło sugerować pewne niepokojące rzeczy, ale na szczęście ani jedna nie była zakrwawiona. Żadnego domu nie zdobił też kamienny maszkaron. Ludzie ciekawie przyglądali się wolno przejeżdżającemu samochodowi, głośno wymieniając uwagi.

– Może to jaka czarna wołga, co na dzieciaki poluje? – rzuciła jakaś kobieta zza płotu. – Niby kolor nie ten, ale różowe w środku ma. Do domu, w tej chwili!

Na paniczny głos matki zbiegła się z całego podwórka liczna gromadka maluchów.

Michał z dezaprobatą popatrzył na znów nieco różową Andżelikę.

– No, czego się czepiasz? – pisnęła dziewczyna. – Głupie baby i tyle. Tutaj wszystkie takie! Też mi czarna wołga! Po pierwsze szara, a po drugie skoda. Zresztą kto by chciał im porywać te brudne bachory?

Filip zatrzymał auto niedaleko kościoła. Dagmara wyszła się trochę rozejrzeć.

– Jest tu jakiś dom z mordami? Pensjonat albo co? – zapytała kobiety prowadzącej na sznurku koszmarnie utytłaną krowę.

– Pensjonat? To znaczy taki jeden jest, Mucha, on pracuje za pensję, ale gówno zarabia, ale pani chodzi chyba o takiego, no, wariata? Mieszka na końcu wsi, jak sobie popije, to szaleje, że ha! – dodała z dumą. – Mordę ma, że za sam wygląd dziesięć lat, ale tylko jedną.

– Ale mi chodzi o hotel! Spory chyba!

– Hotel? W Utopcach? Niemożliwe! I do tego z mordami? Ni! Nic takiego tu ni mo! Jest jedna duża ruina, ale ona ni mo żadnych mordów, ino morwy, dla robali.

– Ruina? Dla robali? – zapytała dziewczyna, nic nie rozumiejąc.

– A gdzie tam, krzaczyska dla robali, ruina to normalnie, dla pijaków jest. A bo co? – zapytała kobieta nieprzyjemnym tonem. – Całkiem porządna, jeszcze stoi. O, tam dalij.

Podjechali pod wielki dom, dookoła którego rzeczywiście rosły gęste, obwieszane owocami ni to wybujałe krzaki, ni

to drzewa. Potężny piętrowy budynek był prawie całkowicie zrujnowany i wyglądał jak opuszczony szpital psychiatryczny z porządnego thrillera.

Niezgrabna, szara i ciężka bryła przypominała na wpół rozebrany dwór. Ściany miała w łaty, bo tynk odłaził wielkimi płatami, kilku okien, szczególnie tych górnych, brakowało. Wszędzie wałały się resztki starych mebli, jakieś papiery i zbutwiałe szmaty. Było brudno, smutno, dziwnie i... niesamowicie.

Dagmarę chyba najbardziej przestraszyła niepokojąca atmosfera.

– Pudło – stwierdziła niechętnie. – To rzeczywiście tylko jakaś cholerna ruina. Co dziadek miałby tu robić?

– Masz rację – przytaknęła skwapliwie Filip, włączając silnik. – Spadamy stąd! Co za okropne miejsce...

Pewnie odjechaliby, i to szybko, gdyby Andżelika nie zawołała nagle piskliwym głosem:

– Patrzcie! Tam jest wilk! Normalnie, kurczę, jak w horrorze!

Wszyscy popatrzyli z ciekawością na biało-szare stworzenie o niebieskich oczach, które dostojnie tarzało się w trawie pomiędzy drzewami, i choć dostojne tarzanie się w czymkolwiek jest bardzo trudne, zwierzęciu jakoś się to udawało.

– Bestia! – krzyknęła Dagmara.

– No co ty? – obruszyła się Andżelika. – To przecież nie diabeł, tylko wilk, choć w takim miejscu nigdy nic nie wiadomo.

– Ale to Bestia! Pies dziadka!

Dagmara wyskoczyła z samochodu, podbiegła do psa i ku przerażeniu Filipa zaczęła go przytulać. Po chwili zoba-

czyła, jak ze skrzypieniem uchylają się drzwi tego koszmar-  
nego przybytku i ktoś daje jej jakieś znaki, nie wychodząc  
nawet na zewnątrz. Wszyscy wraz z psem, choć może nie  
w takiej kolejności, bo Andżelika, Filip i Michał woleli się  
trzymać z tyłu, niechętnie udali się w kierunku wzywającej  
ich postaci.

– Jak dobrze, że wreszcie jesteście! – zawołała pani Sta-  
sia, stając w progu. – Mam nadzieję, że Generał czuje się  
dobrze. – Kobieta rozejrzała się, jakby szukała kogoś pośród  
przybyłych.

– Pani Stasiu! – jęknęła Dagmara. – Co pani tu robi? Co  
z Kingą? I gdzie jest dziadek?

– Nie przyjechał z wami?

– Jakim niby cudem? – mruknęła dziewczyna. – Myśla-  
łam, że jest tutaj!

Pani Stasia oniemiała. Nerwowym gestem zatarła ręce.

– No bo był – odpowiedziała. – Był, ale go nie ma. Przy-  
jechał tu z nami. Kazał nigdzie się stąd nie ruszać. Zostawił  
samochód i zniknął, a w domu... W domu dzieją się strasz-  
ne rzeczy!

Dagmara rozejrzała się dookoła.

– Pani Stasiu! O czym pani mówi, chyba nie o tym  
czymś... Chodzi o to, że... Przecież to jakaś koszmar-  
na ruina, a nie dom!

– Nie taka znowu ruina – odparła kobieta. – Może nie  
wygląda to najlepiej, ale nie jest tak źle.

Budynek, który z zewnątrz prezentował się potwornie,  
wewnątrz był istnym koszmarem. Ogromnym, pustym, po-  
nurym, brudnym i ciemnym. Kiedyś chyba zielona, teraz bu-

ra lamperia sprawiała, że przypominał zaniedbany szpital. Ze ścian luszczyla się farba. Meble i inne sprzęty sprawiała wrażenie, jakby ktoś je porzucił podczas nagłej ucieczki lub ewakuacji. Drzwi wyrwane z zawiasów stały smętnie oparte o ściany albo kołysały się na resztkach futryn, inne skrzypiały złowrogo, kiedy się nimi poruszało.

– Nie, nie, nie! Pani Stasiu, pani zwariowała, prawda? – zapytała Dagmara z nadzieją. – Nie możemy się tu zatrzymać! To jakiś wygłup! Przecież to nie nadaje się do zamieszkania!

– Nieważne, czy się nadaje, czy nie, mamy tu siedzieć i czekać, aż wróci General! – Pani Stasia westchnęła, po czym ciągnęła pewniejszym tonem: – On wie, co robi! Powiedział wyraźnie, że musimy tu zostać. Wszyscy!

– Ona nie mówi poważnie – wysapał Filip. – Nie możemy zamieszkać w tym... w tym bajzlu! Prawda? Nie możemy!

– Musicie – sapnęła pani Stasia, wzruszając ramionami. – Tak jest i już! Jak wróci, wszystko wyjaśni.

– Może nie będzie tak źle? – mruknęła Dagmara nie całkiem szczerze, licząc, że dziadek wróci za godzinę, najdalej dwie. Chęć uduszenia winowajcy własnymi rękoma mieszała się w niej z pragnieniem zamordowania pani Stasi choćby za pomocą młotka. Ta kobieta z pewnością we wszystkim maczała palce, a teraz odgrywa jakąś komedię.

– Kłopot tylko z tym, że w domu coś jęczy po nocach, ktoś stuka do okien, coś straszy... To jedyna niedogodność, ale przecież sobie poradzimy! – dodała prawie wesoło sąsiadka.

– Zaraz, zaraz, pani Stasiu! Na dodatek ta ruina jest nawiedzona?

– Kurczę, ale odlot! Normalnie czad! – Andżelika pisnęła, tak jak tylko ona to potrafiła. – To nie wygląda na dom! Prędeż na jakiś szpital czy co?

– W sumie racja, kiedyś znajdowało się tu sanatorium.

– Dla wariatów? – Filip zbladł jak papier.

– Ależ skąd. Dla nerwowo i psychicznie chorych, dopiero potem zrobili z tego szpital, ale na krótko...

– Przecież nie musimy tu mieszkać? – Dagmara popatrzyła na kobietę z nadzieją, która niestety bardzo szybko zgasła.

– Musimy! – powiedziała twardo pani Stasia. – Ale kuchnia jest prawie całkiem w porządku, jeden salon, ten dolny też, i pokoje na parterze są zdatne do użytku, tylko korytarz trochę zagracony, no i góra. Tam lepiej nie chodzić.

Z jednego z pokoi wybiegła Kinga i rzuciła się Dagmarze na szyję.

– Dobrze, że jesteś, hm... jesteście – powiedziała niepewnie. – Razem będzie nam różniej, trochę tu dziwnie nocami...

– Kinga, kochana! Jak dobrze, że u ciebie wszystko w porządku. – Dagmara się ucieszyła, po chwili jednak spoważniała. – Co to w ogóle ma znaczyć? Dlaczego... Jakim cudem... Dlaczego nie zostałaś w Kraśniku?

– Twój dziadek mnie prosił. Powiedział, że to ważne. Że muszę mu pomóc cię tu ściągnąć, bo od tego coś zależy, jakaś ważna sprawa!

– I ty się zgodziłaś? Uwierzyłaś mu? Zwariowałaś?!

– No wiesz... Twój dziadek jest rozsądnym...

– Jasne! I co niby ci powiedział? Co to za ważna sprawa? Dokładnie!

– Dokładnie to powiedział, że nie może mi nic powiedzieć, ale to wszystko dla twojego dobra.

– Boże! Kinga, ty naiwniaczko... I co teraz? Zostajemy? Wracamy?

– Mamy tu zostać! – odparła twardo Kinga. – To konieczne!

– O, co to, to nie! – odezwał się Filip kategorycznie. – Nie ma mowy. Pal licho dziadka, sam się znajdzie. Jest dorosły. Chciałaś uratować Kingę, okej. Znalazłaś ją i misja zakończona! Ten dom, tfu, nie dom, to coś to istny koszmar!

– Przestań, Filip – mruknęła Dagmara. – To nie takie proste... Sam wiesz, że mama...

– A, jasne! Olała cię i pojechała do Turcji!

– Daj spokój, idioto – odezwał się Michał z dezaprobatą.

– Jak możesz tak mówić? Nikt nikogo nie olewał. Pani Rogalska też ma prawo do odpoczynku.

– Znasz moją mamę? – zapytała niepewnie Dagmara.

Michał jakby się spłoszył.

– Nie, oczywiście, że nie, ale pomyślałem, że... No wiesz...

Dagmara popatrzyła na niego życzliwie, udając, że dała się nabrać na te mętne tłumaczenia. Coś tu się nie zgadzało, to był jakiś przekręt, jakaś afera, kłamstwo szyte grubymi nićmi.

– A jak ty się stąd do Warszawy dostaniesz? – zapytał złośliwie Filip. – Zdaje się, że mówiłeś o jakichś praktykach...

Michał wcale się nie przejął.

– Teraz mam wolne, przez pół dnia kombinowałem w Zwierzyńcu, jak to załatwić, i udało się! Zostanę z wami, oczywiście dołożę się do wyżywienia, to jasne!

Andżelika nie wiedziała, co powiedzieć.



– Ja bym też została. Dom jak dom, trochę przerażający, ale co tam... No i jak ten dziadek się znajdzie, to może weźmie mnie do opieki, tyle że nie mogę się dołożyć do żarcia. Forsy nie mam, ale chętnie pomogę, posprzątam, ugotuję, kożę wydoję...

– Kożę? Oszałałaś? Skąd weźmiesz kożę? – odparł Filip, rechocząc, ale pani Stasia popatrzyła na niego prawie z politowaniem.

– Jasne, że mamy kożę! – oświadczyła, uśmiechając się do Andżeliki.

„Ja chyba śnię – pomyślała w popłochu Dagmara. – To nie ludzie, tylko demony, kosmiczne roboty, zombie albo inne duchy... Wszystko robi się coraz dziwniejsze. Może te stwory zjadły już dziadka, a teraz chcą pożreć mnie i Filipa? Na deser?”. Nie wiedziała, co zrobić. Zostać tu i zmarnować tę resztkę wolnego czasu, która jej jeszcze została? Właściwie nie miała wyjścia. Nie mogła wrócić do Warszawy. Cała sprawa z kluczami śmierdziała na odległość, bo na pewno nie zostawiła ich w domu przez przypadek, nie była tak roztrągniona jak Kinga, ale fakt pozostawał faktem, domowa forteca pozostawała dla niej niedostępna. Wyważanie drzwi i zmiana zamków nie wchodziły w rachubę, a Słodków? W tej chwili dom dziadka nie jawił się jako specjalnie bezpieczne miejsce, zresztą co za różnica? Tam wieś i tu wieś... Przez chwilę myślała o tym, by na czas całego zamieszania zatrzymać się z Kingą u Filipa, ale dwupokojowe mieszkanie jego rodziców zupełnie się do tego nie nadawało.

Z oddali, gdzieś z góry, zwiokrotniony pustką korytarza dał się słyszeć przeciągły pisk.

– Co to, do cholery, było?! – zawołał Filip z przerażeniem w głosie. – Boże kochany!

– Spokojnie – mruknęła Kinga. – To tylko Precel.

– Dog dziadka – wyjaśniła Dagmara. – Jak wlezie na fotel, a kocha to najbardziej na świecie, to te wielkie łapska zawsze jakoś mu się zasupłają i trzeba go rozplątywać, bo inaczej zaczyna strasznie wyć.

Dziewczyny pobiegły na górę. Widok, jaki ukazał się oczom Dagmary, był przerażający. Bure ściany, poniszczone drzwi i powybijane okna robiły koszmarnie wrażenie. W jednym pokoju odnalazły Precla, rzeczywiście potężnie zapętlonego. Mimo że miał tylko cztery łapy, wyglądał jak wielki grafitowy pająk, który właśnie został zaatakowany przez krwiożerczy fotel. Chude i kościste kończyny sterczały na wszystkie strony i nie wiadomo było, od której zacząć, żeby uwolnić zwierzaka z tej przerażającej pułapki.

Po chwili ze schodów, dysząc, tupiąc i sapiąc, zbiegl...

– Kucyk? – jęknęła Andżelika.

– Nie – mruknął Filip. – Kucyki są mniejsze!

Szybko odsunął się pod ścianę, widząc, jak ogromny rozpędzony pies szarżuje wprost na niego.

– Weźcie ode mnie to bydlę! – pisał, jak, nie przymierzając, panienka.

– Precel, daj spokój – westchnęła pani Stasia.

Zwierzak zatrzymał się posłusznie, rozejrzał po korytarzu i powoli, systematycznie zaczął obwąchiwać stojących. Nikt nie drgnął. Po chwili pies wszedł dostojnie do jednego z pomieszczeń.

– To nasza kuchnia – objaśniła pani Stasia.

Precl z loskotem zwałił się pod stół.

– Trzeba uważać, bo już raz go przewrócił – powiedziała pani Stasia niespecjalnie przejęta. – Czyli postanowione. Zostajecie. Co rano przychodzi tu taka jedna baba ze wsi i druga do sprzątanania. Ma na imię Krycha, nic do niej nie mam, ale trzeba na nią uważać!

– Dlaczego?

– No cóż, ostatnio szukała czegoś w moich majtkach!

– Pani Stasiu! – Dagmara zmartwiała. – Nie interesują mnie takie intymne szczegóły, fuj!

– No, źle się wyraziłam, owszem, grzebała w nich, ale nie miałam ich na sobie! – Kobieta zamilkła speszona.

– Rozebrała panią?!

– Co ty wygadujesz?! – Pani Stasia szybko się pozbierała. – Buszowała w walizce! W walizce z majtkami! A nie powinna. To nie do pomyślenia. – Zamilkła, ale po chwili znów zaczęła, tym razem z innej beczki: – Zrobimy tak. Wszyscy oczywiście śpimy na dole. Wybierzcie sobie pokoje. Są jednoosobowe. Rozpakujcie się. Odświeżcie... Ale mówię wam, ta Krycha kłamie i coś kombinuje!

– Pani Stasiu, niech pani nie przesadza. Wyraźnie miała pani zbyt dużo stresu – oceniła Dagmara, pewna, że właśnie okiełznała bestię. Krycha kłamie? Oczywiście każdy kłamie, pani Stasia jest reliktem przeszłości, a też coś kręci, więc dziewczyna postanowiła się nie przejmować.

Filip nie był zachwycony.

– Ja zupełnie spokojnie mogę spać z Dagmarą – wydukał niepewnym głosem, jakby się bał zostać na noc sam. – Jesteśmy parą.

– Zupełnie spokojnie to ty możesz spać tam, gdzie ci każę – odparowała pani Stasia złośliwym tonem, bez ceregieli przechodząc z chłopakiem na ty. – To nie Warszawa. Tu szanuje się tradycję i pewne zasady!

Szybko uporała się z przydziałem pokoi, zarządziła prace kuchenne, wysłała Andżelikę do sklepu...

– A co do pieniędzy, to nie musicie się martwić. Generalł zadbał o wszystko. Mamy lodówkę, prąd, wodę, pomoc kuchenną i pełną spiżarnię. Jakoś damy sobie radę.

Dagmara jeszcze raz poczuła, że coś się nie zgadza. Owszem, dziadek mógłby zadbać o wszystko, ale tylko wówczas, gdyby był jasnowidzem. Filipa powinien przewidzieć. Kingę też, sam w końcu ją tu przywiózł, ale Michał i Andżelika? Ich przecież nie mógł się spodziewać.

– Pani Stasiu – zagadnęła kobietę. – Skąd ten koszmarny pomysł zamieszkania w ruinie? Po co to całe zamieszanie? Po co było mnie tu wlec aż ze Słodkowa? I o co chodzi z tą tajemnicą?

– Twój dziadek dostał jakąś wiadomość i powiedział, że to konieczne, chodziło o jakiegoś jego przyjaciela, tyle wiem – odpowiedziała pani Stasia wymijająco. – Przecież dzwonił do ciebie, sam ci mówił...

– Tylko że nic nie powiedział – obruszyła się Dagmara. – A ty, Kinga? Dlaczego, do cholery, wyłączyłaś telefon?

– Bo... tak wyszło, musiałam, najpierw pies zeżarł mi ładowarkę, a potem Adam... Nie chcę o tym gadać! – odparła dziewczyna i zamilkła z wyrazem zdecydowania na twarzy.  
– Zresztą przecież dzwoniłam.

– Tak? I co powiedziałaś? Że ktoś cię porwał!

– Musiałam, inaczej byś nie przyjechała! On mi kazał...

– Kto? Dziadek? Kazał ci powiedzieć, że cię porwał, a ty oczywiście go posłuchałaś. To jakieś kretynstwo! I po co to było?

– Hm, już mówiłam, dla twojego dobra – mruknęła Kinga, wzruszając ramionami.

– Pani Stasiu... Proszę natychmiast... Żądam...

– Możesz sobie żądać – odburknęła kobieta. – I tak ci nic nie powiem! Sama nic nie wiem.

Mimo wrodzonej prawdomówności pani Stasia nie miała wyjścia. To było coś jak kłamstwo pod przysięgą. Przynęła Generalowi, że nic nie powie, i zamierzała dotrzymać słowa, zresztą jej wiedza była ograniczona.



---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)

**[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)**

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy Hi Bulk 53 g/m<sup>2</sup> wol. 2,4.*

**ZING**

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*  
Redakcja *Magdalena Adamska*  
Korekta *Ewa Mościcka, Małgorzata Ruszkowska,*  
*Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12930-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań